

Cały problem, mówię do Magdy, sam nie wiem, który już raz to mówię, cały twój problem polegał na tym, że tego człowieka, za którego wyszłaś, nigdy nie było. Ja go tylko udawałem. Dobry w tym byłem, tak dobry, że przez większość czasu sam niewzruszenie wierzyłem, że nim jestem. I gdybyś tylko trochę chciała mi pomóc, naprawdę nie trzeba było wiele, gdybyś tylko odrobinę mi poluzowała — udawałbym do dziś. I wciąż bylibyśmy ze sobą. Oczywiście, taki jaki jestem teraz, nie wyobrażam sobie, jak byśmy mogli ze sobą być, mówię, ale gdybym cię nie stracił, nie zdarzyłaby się żadna z tych rzeczy, które się zdarzyły, więc nie byłbym taki. Gdybyśmy się nie rozstali, powtarzałbym sobie dalej, że mam tyle szczęścia, ile rozsądny człowiek może od życia wymagać, i przy odrobinie obłudy z obu stron moglibyśmy do końca życia grać, ja — porządnego ojca rodziny, który kocha żonę i troszczy się o córkę, a ty — kobietę mającą dla męża tę niezbędną do życia odrobinę szacunku.

Ale ty oczywiście się na to nie mogłaś zgodzić, mówię do niej, ty zawsze — albo wszystko, albo nic. No więc musiało się skończyć na niczym.

Tak, bo, słuchajcie, główny problem z Magdą polegał na tym, że nic nigdy nie było dla niej wystarczająco doskonałe. Na wszystkim potrafiła wypatrzeć jakąś rysę, skazę, to nieważne, że widoczną tylko dla niej jednej, jej to wystarczało, czepiała się tego niedoskonałego szczegółu z całej siły, nawracała do niego bezustannie, oglądała ze wszystkich stron i już nic innego się nie liczyło. Z niczego nie umiała być zadowolona, niczym się cieszyć. Całe nasze wspólne życie, kiedy patrzy na nie dzisiaj ten człowiek, którym jestem, całe to nasze życie było jednym wielkim stresem, ciągłym problemem, nieustannym napięciem i rozpaczliwą ucieczką. Ucieczką Magdy przed nieuporządkowaniem świata. Wtedy nie rozumiałem, że ona ucieka. Że ta ciągle stwierdzana niedoskonałość wszystkiego wprawia ją w przerażenie, w histeryczny popłoch. A przecież to było logiczne. Oczywiście. Jeśli świat nie jest doskonały, to znaczy, że w każdej chwili może się zmienić — a jeśli może się zmienić, to może się i rozpaść. Chciała znaleźć przed tym jakąś obronę, ale wszystko, w czym się próbowała ukryć, z bliska też okazywało się niedoskonałe, rozczarowywało ją, zawodziło. I z tych wszystkich rozczarowań i zawodów największym, najbardziej bolesnym byłem ja. Bo zamiast ideału, który udawałem, okazałem się — jak każdy człowiek — kawałkiem mięsa, nasączonego krwią, żółcią i limfą, wydzielającego z siebie śmierdzący pot, szczynę, bzdzinę i gówno, z kałdunem

pełnym flaków i głową zapchaną myślami o załatwieniu swoich biologicznych potrzeb. Tego właśnie nie umiałaś mi wybaczyć, mówię do Magdy.

Mówię do Magdy, ciągle do niej mówię, ciągle się przed nią tłumaczę. Rzeczpospolita Polska ustami ondulowanej sędzi ogłosiła, że z uwagi na niezgodność charakterów tych kilkanaście lat było tylko nieporozumieniem, którego skutki anuluje się niniejszym za pomocą stempla, podpisu i znaczków skarbowych. Minęły od tego czasu, od chwili, gdy ostatni raz zmuszeni byliśmy zamienić ze sobą parę słów, już prawie dwa lata — a ja ciągle do niej mówię, ciągle się przed nią usprawiedliwiam albo oskarżam, albo coś tłumaczę. Widocznie to jeszcze jedna rzecz, której się nie można oduczyć, tak jak spania na swojej połowie łóżka — nawet jeśli pamiętasz, żeby zasnąć na środku, to i tak twoje ciało skorzysta z sennej nieuwagi, żeby naprawić niedopatrzenie i ulokować się po właściwej stronie.

A łóżko mam wielkie jak pastwisko. To był pierwszy mebel, na jaki się w swoim nowym życiu szarpnąłem. Naprawdę się szarpnąłem — po tych wszystkich pieniądzach, jakie wirowały wokół mnie przez ostatnie miesiące, nie jestem w stanie przypomnieć sobie sumy, w porównaniu z nimi śmiesznej, ale wtedy to była dla mnie straszna kasa. Dopiero co udało mi się wynająć mieszkanie, cały mój dobytek wciąż ograniczał się do kilku par dżinsów, swetra, podróbki amerykańskiej kurtki wojskowej i sterty gaci, skarpet, koszulek, ręczników, czego tam jeszcze, wszystko wala się po podłodze w torbach z supermarketu albo wisi

na klamkach, gołe ściany, goła podłoga — i w środku tej pustki tragarze ze sklepu skręcają gigantyczne łoża jak z Hollywood, dwa czterdzieści na dwa, z wyłożoną, ozdobną balustradą z obu stron i grubym, podwójnie resorowanym materacem. Nie ma Magdy? I bardzo dobrze. Wreszcie jestem wolny, w pełni sił, ledwie skończyłem czterdziestkę, a świat jest pełen towaru, tylko brać. Od dziś istnieją tylko trzy żelazne zasady, trzy jedyne rzeczy, które sobie przysięgam: zero wyrzutów sumienia wobec kobiet, zero uczuć dla którejkolwiek i zero onanizmu.

Nie ma Magdy. Ale mojego pomałżeńskiego łoża też już nie ma. W ogóle nie ma już niczego, tylko drwiąca pewność siebie Buchaltera i ten niespecjalnie czysty przedział w pociągu pośpiesznym do Suwałk, od stacji Białystok jako osobowy. Bolesny skurcz w gardle i słona bania w żołądku, kiedy pociąg szarpie nagle, kołysze się i rusza. Perony Centralnego zostają w tyle i w mroku tunelu nagle dopada mnie atak strachu. Gadam do siebie, żeby go zagłuszyć.

Właśnie wyruszyłem po swoją śmierć.

Sięgam po butelkę. Muszę uważać, by nie upić się za szybko, więc tylko trochę, na początek. Byle zagłuszyć ten strach. Głupi strach. Przecież to jeszcze tyle godzin.

Wszystko naraz. Ojciec, Magda, doktor Hans, Kreszczyński, Groszek, agencja Artura, dziennikarze, dziewczyny z pijaru, kobiety z... Niech będzie najpierw Danka. Jakoś właśnie o niej mam teraz ochotę myśleć i mówić. Danko, mój punkt dojścia i, jak mi się

przez dłuższy czas zdawało, optymalne rozwiązanie moich problemów. A teraz — jedyne wspomnienie, z którym nie wiążą się żadne wyrzuty sumienia ani gorycz. Przeciwnie, na samą myśl o niej w spodniach robi się twardo, a śmierć wydaje się dalsza. Bez troski, radosny seks bez żadnych konsekwencji, czyli dokładnie to, co sobie nawzajem obiecaliśmy.

Danka. Kobieta z ogłoszenia w pornolu. „Mam ochotę na niezobowiązujący seks z superfacetem z Warszawy” — i numer oferty. Superfacet, rozśmieszyło mnie to określenie, może z tego powodu wybrałem to właśnie ogłoszenie z całej kolumny. Napisałem parę słów o sobie, że wolny, z własnym mieszkaniem, gwarantuje dyskrecję oraz higienę i tak dalej. Tydzień później znalazłem na komórce esemesa.

Nigdy nie odważyłem się zapytać, ile ma lat, mogła być ode mnie trochę starsza, ale na oko nie więcej niż dwa, góra trzy lata. Dla kobiety, w każdym razie dla pewnego typu kobiety, takiej właśnie jak Danka, to kapitalny wiek. Wie już wszystko, czego mogła się nauczyć, i używa tej wiedzy z nieopanowaną zachłannością, żeby wykorzystać coraz bardziej ograniczony czas. Imponował mi jej seksualny apetyt, może nie tyle nawet imponował, ile leczył z kompleksów; po każdym rżnięciu czułem się uspokojony i dowartościowany jak rzadko w życiu. Szła prosto od drzwi do łazienki, zawsze w pośpiechu, bo praca, dzieci, mąż, zresztą ja też nie miałem ochoty na przydługie powitania — a potem od razu klękała przed moim kutasem. Przysysała się do niego zgłodniała, bezwstydnie, radośnie i ze znanstwem pozwalającym

jej nieomylnie wyczuć, w którym momencie przerywać obciąganie i nadstawić się, tak żebym, zanim się spuszczę, jak najdłużej pozostał twardy. Przy całym okazywanym podnieceniu, posapywaniu, wszystkich tych krzykach i wbijaniu mi paznokci w pośladki, gospodarowała moją erekcją jak skrzętna gospodyni mężowską pensją, żeby nie zmarnować ani jednego pchnięcia. Bardzo rzadko trafiał się jej na tyle gorszy dzień, że odpuszczała i w którymś momencie dokonywała mnie na zewnątrz, pozwalając trysnąć sobie na piersi.

No dobra: nie były to cycki z rozkładówki „Playboya”, wołałbym odrobinę jędrniejsze. Ale mogły być. Właściwie można to samo powiedzieć o całej Dance. Wszystko w niej było takie: może być. Mogłaby mieć odrobinę smuklejsze uda, odrobinę węższą talię, parę centymetrów więcej wzrostu, ale na każdy z tych braków swobodnie dawało się przymknąć oczy. Zwłaszcza że po początkowych obiekcjach, wygłoszonych bardziej dla dopełnienia rytuału niż z rzeczywistej obawy, dość szybko pozwoliła się związać. Nawet przed kneblem się zbyt długo nie broniła. Może ją też to podniecało. Ale chyba raczej przekonała się, jak bardzo to podnieca jej „superfacceta” i podnosi jego wydolność.

Bo rzeczywiście, mimo całej wypijanej gorzały i nerwów organizm jakoś mi wtedy nie nawalał — o, przeciwnie, mogłem być z siebie bardzo dumny. A już najbardziej tego dnia, kiedy Danką przyniosła zabawki od siebie z redakcji. Długo się do tego zbierała. Mówiła wcześniej co i raz, to by ci się spodobało,

ale, cholera, żeby mnie nie przycięli, no sam wiesz, chyba nic z tego, no, nic z tego — a za jakiś czas znowu, ale może mi się uda, wiedziałem, że w końcu przyniesie, bo zaczęło ją to podniecać, aż pewnego popołudnia przyszła z wypchaną torbą i uśmiechając się tajemniczo, zabrała tę torbę do łazienki. Wyszła stamtąd w pończochach, szpilkach i skórzanym gorseciku odsłaniającym piersi, w grubej obroży, z naręczem akcesoriów. Niektóre były śmieszne i zupełnie bez sensu, jakaś imitacja bata z pasek czarnej flaneli czy łańcuszki jak przy klozetowej spłuczce, ale inne okazały się bardzo praktyczne, zwłaszcza knebel, twarda, skórzana kula na mocnym pasku z zapięciem na kark. Wsłuchiwałem się, jak przez ten knebel Danką pomrukuje aprobowując, gdy ją rznąłem spętana, pełen szczęścia i ulgi, że cokolwiek tam było z Groszkim, minęło, że teraz już mogę tak bez końca, wydawało mi się, że zaraz pęknę z dumy — bezbrzeżnie zadowolony z siebie markizek de Zadek. Chyba już ostatni raz w życiu mi się wtedy zdarzyło, żeby być z siebie tak zadowolonym, więc zapamiętałem dokładnie. Kiedy Danką wyszła, usiadłem zaraz do komputera, jeszcze cały osłabły i rozmarzony, żeby pochwalić się udanym seksem mojej internetowej powiernicy. A przy okazji, racząc ją szczegółowym opisem, jeszcze raz to wszystko poprzężywać. Czy może raczej upewnić się, że to naprawdę ja jestem tym facetem, któremu zaczęły się wreszcie takie rzeczy przydarzać. W każdym razie wyszyłem do Iris długiego mejla i potem kręciłem się z godzinę koło komputera, licząc, że odpowie i — jak tyle razy

wcześniej — utniemy sobie podniecającą pogawędkę o wrodzonej uległości kobiet i rozkoszach, jakie daje im zniewolenie. Ale tego wieczoru najwyraźniej nikogo tam po drugiej stronie nie było, czekałem na próżno, popijając i puszczając sobie muzykę, aż w końcu udało mi się zasnąć.

A niewiele później, nie pamiętam, może parę dni, może tygodni, z adresu Iris przyszedł do mnie list od Kreszczyńskiego. Z kolorową fotką. A potem Kreszczyński krótko i brutalnie poinformował, że mają przeciwko mnie zeznania mojej własnej córki i jest tylko kwestią jego dobrego humoru, czy mnie zgnoi, czy nie. Pewnie, że się przestraszyłem. Ale wcale nie strach był najgorszy. Najgorsze było upokorzenie. Straszliwe poczucie upokorzenia, które przyszło wraz z bezradnością i rezygnacją, wraz ze świadomością, że muszę ulec, bo nie pozostawiono mi żadnego wyjścia — i że wszystko nagle poszła do kupy. Wszystkie zdarzenia, słowa, szaleństwa, zupełnie niezależne od siebie, nagle osaczyły mnie szczelną obławą, nagle wszystko zaczęło do siebie pasować, zmieniać się w jeden logiczny obraz, ktoś to wszystko długo mozolnie nizał i trzeba było takiego kretyna jak ja, żeby przez tyle czasu się nie spostrzec — a teraz nic już nie mogłem zrobić, nawet gdybym tego przekłętego pedała zamordował sto razy na wszystkie sposoby, jak to sobie bezsilnie roiłem. Zrozumcie, nie jestem żadnym zboczeńcem, nigdy w życiu przez myśl by mi nie przeszło, że można dotknąć własnej córki, nawet nie umiem sobie wyobrazić nic obrzydliwszego

— ale on oczywiście miał rację, że nikt by w to nie uwierzył. Pamiętam jej oczy, z jaką odrazą na mnie patrzyły, pamiętam, z jaką nienawiścią moja Nusia cedziła, że nigdy nie wybaczy mi tego, co zrobiłem mamie, Magda tyle lat wychowywała ją w pogardzie do ojca, że już wiele nie było trzeba. I jeśli nawet pedał na swoją zgubę blefował, bo czasem myślę, że może, to w każdym razie lepiej blefować nie mógł. Wiedziałem, i on też musiał wiedzieć, że moja córeczka nie tylko jest gotowa zeznać przeciwko ojcu najpodlejsze kłamstwa, ale — gorzej — że jest w stanie w nie święcie uwierzyć.

Tak się wtedy czułem, pomyślałem, jak musiał się czuć przez te wszystkie lata mój ojciec. A w każdym razie, jak się musiał czuć w ostatnich tygodniach swojego życia. Tylko że ja jeszcze za głupi wtedy byłem, żeby cokolwiek zrozumieć. Wtedy to był mój czas zaprowadzania na świecie porządku. Czas, w którym ten świat był prosty, czarno-biały, i przy odrobinie wysiłku, na który byłem gotów, mogłem go urządzić jak należy, naprawiając błędy wszystkich poprzednich pokoleń. Ojciec musiał doskonale wiedzieć, co mnie rozpiera, bo gdy czasami mnie ponosiło i zaczynałem pleść jakieś rzeczy zupełnie już niemożliwe, nie unosił się, nie krzyczał ani nie użerał jak z Andrzejem. Uśmiechał się tylko. Ale uśmiechał się bez odrobininy politowania czy rozbawienia — ze smutkiem, którego wtedy nie umiałem zrozumieć, nie umiałem nawet zauważyć. A może z zazdrością.

— Dobierają się wreszcie łajdakom do dupy — mówię, czy coś w tym stylu, w każdym razie nie kry-

ję swego gorącego zaangażowania w sprawę. — A ci twoi by się po prostu wstydzili, tato. Zachowują się haniebnie, ha-nieb-nie, tato.

Podbijam mocno każdą sylabę, patrzę na ojca prowokująco, niech zareaguje choć słowem, niech tylko da mi szansę wyrzucić z siebie z pasją całe moje święte oburzenie. „Ci twoi” to oczywiście jego przyjaciele, których przez całe moje dzieciństwo było pełno w tym samym zawałonym książkami i rocznikami gazet pokoiku, w którym teraz siedzimy. W mojej dziecięcej pamięci ojciec zawsze tkwi w tym pokoju, wciśnięty w kąt za swoim biurkiem i perorujący z papierosem w ręku, trzymał tego papierosa w bardzo charakterystyczny sposób, nie jak to robi większość ludzi, końcówkami palców, ale u samej ich nasady, jak robotnicy na zimowym zrębie, kiedy palą w grubych trójpalczastych rękawicach — tak że żar wydawał się wychodzić mu z dłoni niczym ostrze przebijającego ją od wewnątrz gwoźdźcia. Wywijał tą dłonią z papierosem, podkreślając z pasją puenty, popiół sypał się na dywan i między serwety, bardzo złościło to matkę, że wszędzie pełno tego nawcieranego butami i łokciami popiołu. Zresztą wszyscy na tych spotkaniach u ojca palili, smród zastałego tytoniu nie dawał się wypędzić z jego gabinetu żadnym praniem ani trzepaniem. Znam ten zastały odór z mieszkań palaczy i serdecznie go nie znoszę, ale w moich wspomnieniach dym papierosowy nie jest przykry. Kojarzy się z niedostępnym dla dziecka wtajemniczeniem, z brodatymi twarzami i podchwytywanymi przez szparę w drzwiach strzępami rozmów o duchu Soboru, gra-

nicach kompromisu, upodmiotowianiu i budowaniu podstaw społeczeństwa obywatelskiego. Nie dam głowy, czy rzeczywiście padały tam takie określenia. Dawno już zauważyłem, że moja pamięć kłamie straszliwie, wciąż przyłapuję ją na uzupełnianiu po latach wyblakłych, gasnących kadrów szczegółami, których pierwotnie wcale tam być nie mogło. Moja pamięć tłucze wszystko na proszek i układa z okruszków mozaiki według linii, które wytycza w imię jakichś własnych, niezrozumiałych dla mnie kryteriów. I pewnie nie tylko moja. Nigdy nie mogłem się dogadać z Magdą co do najprostszych faktów. Latami skutecznie rozbijała się o to moja głupkowata wiara, rodem z amerykańskich poradników, że każdy małżeński konflikt można sobie racjonalnie wyjaśnić, przedyskutować i wspólnie znaleźć rozwiązanie. Akurat! O czym tu dyskutować, kiedy w chwilę po sprawie wersja zapamiętana przez Magdę była diametralnie sprzeczna z tą, którą doskonale pamiętałem ja?

Chociaż jeśli chodzi o Magdę, pamięć może nie miała tu nic do rzeczy. Ona po prostu słyszała co innego, niż się do niej mówiło. We wszystkim znajdowała od razu drugie dno, pomijając z lekceważeniem pozory, które może zwiodłyby kogo innego, ale nie ją — deszyfrowała bezustannie każde rzucone przy niej zdanie, rozłamywała je jak szpiegowski kod. Jeśli mąż mówi, że jest piękna pogoda i dobrze by było wyjść na spacer, to najwyraźniej dla jakichś podejrzanych celów chce się pozbyć żony z domu. A kiedy przy obiedzie poprosiłem: „Kochanie, mamy tu gdzieś sól?”, to moja Magda natychmiast odcyfrowywała,

że naprawdę powiedziałem: „Nic nie umiesz, nawet zupy posolić jak należy”. Już ona wiedziała. Zresztą, powiedziałem to przecież „takim tonem” albo „z taką miną”. Ton i mina zawsze okazywały się „jakieś”, żeby już nie pozostała żadna wątpliwość.

Znajomi, kiedy chcieli być dla mnie mili, mówili coś w stylu: „Tak szczerze, wiesz, stary dziwiłem się zawsze, że tak długo z nią wytrzymałeś”. Ludziom się wydaje, że jak chcą okazać życzliwość człowiekowi świeżo rozwiedzionemu, to nic lepszego, niż mówić źle o jego byłej żonie. Wkurzali mnie tylko i nigdy nie podejmowałem takiej rozmowy, ale gdybym podejmował, to odpowiedź brzmiałaby: wytrzymałem z Magdą tak długo, bo z czasem nauczyłem się uważać na każde wypowiedziane przy niej słowo. Umiałem przewidzieć, czego się doszuka w niewinnym zdaniu, i zawczasu odpowiednio je ocenizować. Nawet nieźle mi to czasami wychodziło. Ale też nic innego nie było trudniejsze do wytrzymania. Można jakoś wytrzymać seksualną oziębłość żony, dom wionący emocjonalnym chłodem, nawet ciągle poniżanie w oczach córki — ale nie to, że każda prosta rozmowa jest chodzeniem po polu minowym i wymaga stałego natężenia uwagi. Latami.

Nie zawsze tak było. Dopiero od chwili, kiedy Magda dowiedziała się o moim drugim życiu.

Najgorsze z moją pamięcią nie jest to, że fałszuje ona zdarzenia, rozmowy i postaci, że z czasem żółknie i blaknie albo zetraca całe miesiące. Najgorsze jest to, że poza nią nie mam niczego innego i muszę, wiedząc doskonale, jak niewiele jest warta, ufać jej

bezgranicznie. Przyjaciele mojego ojca przemawiają tu głosami, które na pewno zostały dograne potem, zgodnie z zasadami dedukcji: skoro ojciec był znany i ważnym działaczem katolickim, a jego gabinet miejscem spotkań opozycyjnych elit, to na pewno musiały się tam toczyć ważne dysputy o przyszłości kraju i Kościoła, o tym, czy wejdą Ruscy i kiedy samemu „wchodzić”, wierząc w sens pracy organicznej, a kiedy trwać w sprzeciwie.

Ale równie dobrze mój stary mógł tam sobie opowiadać z kumplami pieprzne kawały nasyczone niezrozumiałymi dla mnie aluzjami. Dźwięki w moich wspomnieniach nie zasługują na zaufanie. Jedynym, w prawdziwość czego mogę wierzyć, jest obraz — ten oglądany przez szparę w drzwiach: ojciec za swoim biurkiem, szczupły siwy, ze sterczącym spomiędzy palców papierosem i brodaci faceci w swetrach albo sztruksowych marynarkach, wtedy wydawało mi się, że strasznie starzy, wszyscy kopający okrutnie z papierosów albo fajek — matka przeciskała się pomiędzy nimi, żeby otworzyć szerzej okno albo upchać gdzieś pośród papierów i szkła nowy talerz z kanapkami ozdobionymi na wierzchu kawałkiem pomidora, ogórka czy rzodkiewką i szczypiorkiem. Nawet później, kiedy już podrosłem, ojciec nigdy nie chciał przynosić na synów tych rozmów, które toczył ze znajomymi.

Naprawdę. Nie chcieli mi wierzyć, kiedy to mówiłem: mój ojciec nigdy nie rozmawiał z dziećmi o dziadku, wojnie, deportacjach ani o Wronkach, a już zwłaszcza nie rozmawiał z nami o polityce.